

D A M I A N S . W A N D Y C Z

**ZAPOMNIANY LIST
PIŁSUDSKIEGO DO MASARYKA**

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W AMERYCE

D A M I A N S. W A N D Y C Z

**ZAPOMNIANY LIST
PIŁSUDSKIEGO DO MASARYKA**

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W AMERYCE

*Drukowano ze składu tygodnika „ORZEŁ BIAŁY“, w którym
praca niniejsza ukazała się po raz pierwszy w nrach od 32 (580)
do 35 (583) w r. 1953.*

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
w Toruniu

AE
1582171

Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.“, 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.

STOSUNKI polsko-czeskie między dwiema wojnami stanowią treść dramatu, którego aktem pierwszym był zbrojny najazd czeski na Zaolzie w roku 1919, a ostatnim wkroczenie wojsk polskich na te ziemie w roku 1938. Sprawy te są wciąż przedmiotem sprzecznych opinii, gorących sporów i wzajemnych oskarżeń. Okres ten jednakże, choć tak żywy w naszej pamięci, należy już do historii i jedynie ona sprawuje dziś jurysdykcję nad ówczesnymi wypadkami. Wyroki jej będą tym sprawiedliwsze, im na pełniejszych świadectwach prawdy oparte.

Wspominam o tym dlatego, że śledząc toczące się dyskusje na tematy polsko-czeskie nie napotykam nigdzie nawet na wzmiankę o epizodzie, niewątpliwie istotnym, a tych spraw dotyczącym. Mam na myśli inicjatywę Piłsudskiego, wyrażoną w liście do prezydenta Masaryka w grudniu 1918 roku. Inicjatywa, gdyby została podjęta, wpłynęłaby niewątpliwie na późniejsze kształtowanie się stosunków między obu państwami. O liście tym głucho w odnośnej literaturze i ustnych dyskusjach. Ze strona czeska epizodu tego na światło dzienne nie wydobyła — temu ani się dziwić należy, ani mieć o to pretensję. Mniej zrozumiałe jest milczenie polskie w tej sprawie. Jest ono tak kompletne, że słowa o niej nie ma nawet w „Dernier Rapport“ Becka. A nie może ulegać wątpliwości, że byłby o niej wspomniał — gdyby wiedział. Jedyne zatem tłumaczenie jakie się nasuwa, to chyba, że została całkowicie zapomniana. Jak to się stać mogło, stanowi dla mnie zagadkę nie do odcyfrowania. Szukając powodów w okolicznościach, w jakich to nastąpiło, nasuwa się przypuszczenie, że jedną z przyczyn mógł być fakt nagłego przerwania biegu sprawy. Nie miała dalszego ciągu. Spoczywała w rękach ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Leona Wasilewskiego, który w kilka tygodni po jej zainicjowaniu ustąpił miejsca Ignacemu Paderewskiemu, za jego zaś czasów powstał już inny układ stosunków polsko-czeskich, w szczególności prowizoryczne uregulowanie sprawy Zaolzia na podstawie zawieszenia broni, podpisanego przez Benesa i Dmowskiego 3-go lutego 1919 roku w Paryżu. Inicjatywa Piłsudskiego przestała być aktualna. Zastygła w aktach. A że działo się to w pierwszych miesiącach odrodzonego państwa, kiedy zapewne w aparacie urzędniczym nic jeszcze nie działało sprawnie, nie wyłączając doboru i przechowywania aktów — złośliwy

przypadek mógł zrządzić, że dokumenty tej sprawy latami, nie-
sposztrzeżone, spoczywały w cieniach archiwów. Wszystko to być
może, nie wyłączając innych jeszcze domysłów. Nie wydaje się
jednak, aby prawdziwe powody dały się dziś ustalić. Niewątpli-
wym tylko i pożałowania godnym pozostaje fakt, że cała sprawa
utonęła w mroku zapomnienia.

Toteż jako jedyny żyjący z członków delegacji, która list Na-
czelnika Państwa wręczała prezydentowi Masarykowi, poczuwam
się do obowiązku utrwalenia tego epizodu. Pragnę przy tym pod-
kreślić, że nie jest moim zamiarem krytyczna analiza omawia-
nych wypadków, lub również formułowanie oskarżeń, czy fe-
rowanie wyroków. Celem niniejszej relacji jest włączenie na
powrót zgubionego ogniwa do łańcucha faktów i wydarzeń.

Nim przejdę do właściwej relacji, wydaje mi się celowe poprze-
dzenie jej choćby w największym skrócie, wspomnieniem o pewnej
akcji prowadzonej w ostatnich miesiącach pierwszej wojny, a zmie-
rzającej do politycznej współpracy polsko-czeskiej. Z akcji tej
wynikł później udział mój w wymienionej wyżej delegacji.

Jeszcze przed rokiem 1914 rozpocząłem w Pradze studia, prze-
rwane wybuchem wojny światowej. W czasie wojny znalazłem
się w I-ej Brygadzie Legionów Polskich. W końcu 1916 r. po wy-
cofaniu — w związku z dymisją Piłsudskiego — jednostek legiono-
wych z frontu, zostałem odkomenderowany do Krakowa, gdzie
współpracowałem z ugrupowaniem politycznym „Liga Niezawis-
łości Polski”. Starzy krakowianie z pewnością pamiętają cha-
rakterystyczny dla ulicy Floriańskiej dom, położony już blisko jej
wylotu, pod Nr. 53, gdzie mieścił się lokal Ligi i redakcja czasopi-
sma „Kultura”. Przez dwa, nieco przyćmione pokoje, przewija-
ło się w tych czasach wiele osób, dobrze znanych w ówczesnym Kra-
kowie, należących do różnych stronnictw politycznych i bezpar-
tyjnych, a związanych z sobą ideą walki o niepodległość. Spoty-
kało się tam znanego socjalistę krakowskiego dra Emila Bobrow-
skiego, prof. Kiernika (brata późniejszego ministra), dra Adama
Pragiera, prof. Jana Ptaśnika, adw. Bogdaniego, panią Szydłow-
ską, Tytusa Czaki. Widywało się tam asów Uniwersytetu Jagiel-
ońskiego, prof. prawa Stanisława Wróblewskiego, geologa Józefa
Grzybowskiego, i wielu innych, którzy razem uważali siebie nie-
jako za ekspozyturę cywilną I-ej Brygady. Przede wszystkim jed-
nak z mroków pamięci wyłaniają się postacie znanej działaczki
oświatowej Heleny Orsza-Radlińskiej, pełniącej niejako rolę pani
domu w tym lokalu i Leona Wasilewskiego, redaktora „Kultury”,
który był duszą tego środowiska.

Z Leonem Wasilewskim wypadło mi współpracować najbliżej.
Wkrótce po pokoju brzeskim, wybierając się do Pragi dla uporząd-
kowania stanu moich studiów, zostałem przez Wasilewskiego obar-
czony zleceniem nawiązania na terenie Pragi stosunków politycz-
nych i próbowania zorganizowania współpracy polsko-czeskiej na
odcinku anty-austriackim. Zaopatrzone mnie w listy poleca-

jące do prononsowanych polonofilów: prof. Jarosława Bidlo
i dziennikarza Jarosława Rozvody, którzy mieli mi to zadanie
ułatwić.

W Pradze zastałem dla takiej inicjatywy grunt niezmiernie po-
datny. Holowany przez moich protektorów (przede wszystkim
przez prof. Bidlo) poznałem wybitnych polityków czeskich, z któ-
rych wielu miało później w niepodległej Czechosłowacji odegrać
role pierwszoplanowe (Swehla, Rasin) i dziennikarzy, a wśród
nich: Sisa, redaktora „*Narodnej Listy*”, Czerny'ego, redaktora
„*Czasu*” i szereg osób ze składu redakcyjnego „*Lidove Noviny*”
i „*Pravo Lidu*”, nazwisk, których pamięć, niestety, nie zachowała.
Wszyscy, a z wybitniejszych polityków w szczególności Swehla,
otoczyli inicjatywę, z którą się zjawiłem, niezmiernie życzliwą
opieką, skierowując i wprowadzając mnie na teren, zdaniem ich,
do takich poczyniń najbardziej odpowiedni.

W niektórych wielkich stronnictwach czeskich pomiędzy sekcją
młodzieżową, a właściwą partią istniał jeszcze stopień pośredni,
noszący nazwę „*Mlada Generace*”. Grupowali się tam ci, co opu-
ściwszy już szeregi młodzieżowe, nie stali się jeszcze zwykłymi
działaczami stronnictwa. Ścisłe granice, oczywiście, nie były za-
chowywane i niektórzy członkowie „*Mlada Generace*” zajmowali
już pewne stanowiska w normalnym życiu partyjnym. Wprowa-
dzony na ten teren przez góry partyjne, miałem zadanie bardzo
ułatwione i szybko nawiązane rozległe stosunki. Inicjatywa współ-
działania polsko-czeskiego została powitana z zapalem. Natural-
nym biegiem rzeczy wkrótce utworzyła się, luźna zresztą, kom-
mórka, w której reprezentowane były różne czeskie ugrupowania
— i ja, jedyny polski przedstawiciel. Pragnienie politycz-
nego współdziałania z Polakami było w tym czasie wśród Czechów
tak żywe, że nikt się bliżej nie interesował kogo ja właściwie re-
prezentuję. Legitymowałem się wprawdzie Ligą Niezawisłości,
ale o niej, jako żywo, nikt przedtem w Pradze nie słyszał. W ów-
czesnej atmosferze wystarczyło, że zjawił się Polak (dobrze pole-
cony, a więc zasługujący na zaufanie), nie reprezentujący kie-
runku austrofilskiego i szukający zbliżenia z Czechami, aby pod-
jąć rzuconą przez niego inicjatywę. Chcąc jednak jakoś wypełnić
często żenującą próżnię, jaka mnie otaczała, wciągnąłem do współ-
pracy, więcej dla względów formalnych, niż merytorycznych, ugru-
powanie polskiej młodzieży akademickiej w Pradze („*Ognisko*”),
politycznie skądinąd zupełnie nieczynne.

Ze strony czeskiej szereg nazwisk przewija się przez pamięć.
Nazwiska dwóch ludzi szczególnie jaskrawo lśnią w moich wspom-
nieniach. Pierwszym był Dr Ferdynand Veverka, należący póź-
niej do czołowej ekipy czeskich dyplomatów. Wstąpił do stron-
nictwa Kramarza, ale wyraźnie przeciw prezesowi stronnictwa
frondował. Był jednym z najbardziej kulturalnych ludzi, z jakimi
się na terenie Pragi stykałem. Drugim był Jan Kozak, socjali-
sta, wtedy asystent fizyki na politechnice, który później poświęcił
się polityce w zupełności.

Oni dwaj stanowili motor akcji, którą podjęli z najszczerzszymi intencjami i wielkim entuzjazmem. Z oboma złączyły mnie wkrótce serdeczne stosunki. Już po kilku tygodniach dyskusyj, prowadzonych na zebraniach zamkniętych, dojrzał projekt wystąpienia na zewnątrz i publicznego zmanifestowania na wielkim wiecu nawiązanej współpracy. Wiec został zwołany jako protest przeciwko pokojowi brzeskiemu i — jak głosił jeden z punktów rezolucji — potępił czwarty podział Polski. („*Odsuzujemy czwarte deleni Polska*“). Była to chyba jedyna na terenie Austrii — oczywiście poza Małopolską — tego rodzaju manifestacja. Brali w niej czynny udział również politycy ze starszej generacji, przedstawiciele kolonii chorwackiej w Pradze oraz zaproszeni z Krakowa delegaci obu największych ugrupowań akademickich, Jan Szeronos i Kazimierz Wójcicki. Temperatura wiecu była gorąca, a przemówienia o wiele ostrzejsze, niż to bywało zwyczajnie na zgromadzeniach w Pradze. Toteż kiedy mówcy kolejno zapewniali o wzajemnej solidarności w walce o niepodległość szych krajów, zdawało się, że stare mury *Mestanske Besedy* nie wytrzymają naporu zbiorowego entuzjazmu.

WIEC odbił się w Pradze szerokim echem a jego powodzenie było bodźcem dla nas do wzmózonej pracy. Do komórki naszej weszli na stałe Chorwaci, zaczynając puź wtedy używać nazwy „Jugosłowianie“ dla określenia narodowości, a nie pojęcia geograficznego. Z wielu osób działających z nami, został mi w pamięci ponad miarę wysoki Kluić i urocza, pełna południowego temperamentu panna Djukitěva.

Praca rozkręcała się łatwo. Zasięg wpływów się rozszerzał, a kolportaż przysyłanych mi do Pragi, nielegalnie wydawanych przez Ligę „komunikatów“, dodawał pracy tej uroku, jaki ma robota konspiracyjna dla tych, co się po raz pierwszy z nią stykają.

Z Krakowem utrzymywałem osobisty kontakt, jeżdżąc tam dość często. Liga urządziła mój odczyt o stosunkach polsko-czeskich, a „Kultura“ drukowała artykuły na tematy czeskie. Czyniliśmy też starania o wymianę artykułów. Prof. Bidlo nadesłał swój do „Kultury“, „Młoda Generace“ drukowała moje, a Svěhla stworzył Wasilewskiemu łamy „*Lidowe Noviny*“.

Nadarzała się przy tym znakomita sposobność pogłębienia rozpoczętej współpracy. Na wiosnę roku 1918 czeskie sfery polityczne, biorąc jako asumpt 50-letnią rocznicę powstania Teatru Narodowego („*Narodni Divadlo*“) zamierzały jubileusz ten przekształcić w wielką manifestację polityczną z udziałem innych narodów monarchii austro-węgierskiej. Liczny udział Chorwatów, Słowenów i Słowaków nie ulegał wątpliwości. Pewności tej Czesi nie mieli, jeśli chodziło o udział Polaków, a to ze względu na znane rozbieżności pomiędzy politycznymi reprezentacjami Czech i Galicji zarówno przed, jak i w czasie wojny. A do licznego udziału Polaków przywiązywali szczególną wagę. Niejednokrotnie podkreś-

lali to w rozmowach ze mną moi przyjaciele czescy, spodziewając się mego współdziałania w tej mierze. Reprezentacja polska była jednak okazała. Liczna delegacja obejmowała szeroki wachlarz stronnictw politycznych i przedstawicieli nauki i sztuki. Przybył Wincenty Witos. Ze stronnictwa Narodowej Demokracji Aleksander Skarbek i St. Głabiński. Socjalistów reprezentował Jędrzej Moraczewski. Przyjechał również Leon Wasilewski i lwowski „postępowiec“ Hipolit Śliwiński. W imieniu uniwersytetu lwowskiego przybył Jan Kasprowicz, a Wszechnicę Krakowską reprezentowali profesorowie Michał Siedlecki i Zdzisław Jachimecki. Teatr — Adam Grzymała-Siedlecki, a zrzeszenia akademickie: Zygmunt Rusinek i Kazimierz Wójcicki.

Społeczeństwo czeskie wyrażało z tego powodu spontanicznie swoją radość, przy każdej okazji wyróżniając delegację polską. A kiedy na jednej z akademii po długotrwałych owacjach na cześć reprezentacji polskiej, znakomity aktor czeski recytował w przekładzie „Psalm Dobrej Woli“ Kraszińskiego — miało to swoją wymowę. W ramach uroczystości zorganizowaliśmy wielki wiec, na którym z gości polskich pamiętam przemawiających: Skarbka, Śliwińskiego i Rusinka. Równolegle odbywały się też rozmowy i konwentykle wśród polityków starszej generacji.

Atmosfera wytworzona w czasie uroczystości jubileuszowych wzmogła naszą aktywność. Rozszerzyły się również horyzonty: program negatywny, anty-austriacki stawał się niewystarczający. Wprawdzie państwa centralne nie były jeszcze militarnie złamane, a Niemcy prowadziły wielką ofensywę na Paryż, w nas jednak tkwiło już niezłomne przekonanie, że wojna będzie przez nich przegrana i w jej wyniku odrodzą się państwa: czeskie i polskie. Wybiegając myślami naprzód, widzieliśmy potrzebę i możliwość współpracy obu państw. Wspólny front przeciwko niebezpieczeństwu niemieckiemu w przyszłości nie nastroczał wątpliwości, zaś sprawa Rosji na chwilę przestała być problemem tradycyjnie dzielącym politykę polską od czeskiej. Rosja z roku 1918 nie była tą Rosją, którą Czesi wielbili i gdzie szukali oparcia. Panował tam chaos, nikt nie wiedział co się z niego wyłoni. Toteż z optymizmem wypatrywaliśmy zbieżność interesów państw, które się miały wkrótce odrodzić. W tak rozległych perspektywach nawet spory, które oczywiście dostrzegaliśmy na horyzoncie, wydawały się nam drobne. Przez pogłębianie wzajemnego porozumienia myśleliśmy o stworzeniu atmosfery przyjaznej, w jakiej właśnie dałyby się rozwiązać w sposób jednoczący, a nie dzielący.

W akcji przez nas prowadzonej zaprzętały nas wtedy dwie kwestie. Pierwszą była sprawa oddziaływania na szersze warstwy inteligencji. W tym celu wszczęliśmy tygodniowe zebrania w kawiarni „Louvre“, gdzie rozwijaliśmy myśli, stanowiące istotę naszego działania. Był to, jakby początek klubu przyjaźni czesko-jugosłowiańsko-polskiej. Drugą sprawą była odczuwana przez

nas potrzeba nadania naszym poczynaniom, które dotąd nosiły charakter luźny, form bardziej zorganizowanych. Planowaliśmy utworzenie organizacji w każdym kraju, ściśle z sobą współpracujących. Sprawa ta była przedmiotem dwudniowych obrad zebrania, zwołanego w tym celu do Krakowa; odbyło się ono w lokalu Ligi z udziałem przedstawicieli czeskich i jugosłowiańskich. Działo się to na początku lata roku 1918, a na jesieni tegoż roku na gruzach starego ładu odrodziły się państwa czeskie i polskie.

W PIERWSZYM gabinecie, powołanym po powrocie Piłsudskiego z Magdeburga, ministrem spraw zagranicznych został Leon Wasilewski. Wkrótce po objęciu urzędowania wezwał mnie z Krakowa do Warszawy i zaznajomił z krytyczną sytuacją, jaka wytworzyła się na pograniczu polsko-czeskim, wskutek stanowiska rządu czeskiego zajętego wobec umowy, zawartej 5 listopada 1918 r. na Śląsku Cieszyńskim pomiędzy czeskim Narodnim Wyborem, a polską Radą Narodową. Umowa ta rozgraniczyła Śląsk Cieszyński na podstawie etnograficznej na część polską i czeską. Rząd praski umowy tej nie tylko nie chciał uznać, ale na podstawie informacji nadchodzących z Cieszyna, były wszelkie dane do przypuszczenia, że zamierza polską część Śląska zbrojnie zająć. Kilka dni przed moim przyjazdem do Warszawy przybył specjalnie w tej sprawie z Cieszyna delegat Rady Narodowej, który określił sytuację w tej mierze, jako groźną. Wasilewski z naciskiem podkreślał, że mamy obowiązek uczynienia wszystkiego, aby do zbrojnej akcji nie dopuścić. Gdyby bowiem nastąpiła, zaciążyłaby ona dramatycznie nad rozwojem stosunków pomiędzy obu państwami w przyszłości.

Postanowiono przeto — informował mnie dalej Wasilewski — wysłać odręczne pismo Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa do Masaryka, jako prezydenta republiki czecho-słowackiej, przebywającego jeszcze zagranicą, lecz oczekiwanego w najbliższym czasie w Pradze. Treścią listu Piłsudskiego miała być propozycja powołania do życia mieszanej komisji polsko-czeskiej, której zadaniem byłoby rozpatrzenie i uregulowanie wszystkich spraw, które powstały w wyniku nowych doniosłych przemian, a mianowicie rozpadnięcia się Austrii i sąsiedztwa obu państw, powracających do niepodległego bytu. List miał nosić charakter ogólny w tym sensie, że nie precyzował specjalnie żadnej sprawy, a więc i sporu śląskiego; wysuwał jedynie projekt rozwiązania spraw obie strony interesujących w drodze wzajemnego porozumienia. Wasilewski sądził, że tego rodzaju propozycja nie może być odrzucona i wyrażał równocześnie przekonanie, że skoro komisja taka powstanie znajdują się inne sposoby załatwienia kwestii Śląska, niż drogą orężną.

W końcu Wasilewski zakomunikował, że ze względu na pozycję, jaką sobie w ostatnich miesiącach wyrobiłem na terenie praskim

— chciałby, abym pojechał do Pragi, celem wręczenia omawianego listu prezydentowi Masarykowi.

Miałem jednakże poniekąd wrodzone poczucie hierarchii, i zarówno ze względu na wiek, pozycję społeczną (żadną!) i wreszcie brak doświadczenia negocjacyjnego na najwyższym szczeblu — nie wydawałem się sam sobie dostatecznie godnym, jednoosobowym reprezentantem Naczelnika Państwa. Rozumiałem, że funkcja nie ograniczy się do wręczenia listu, ale że wynikną również przedwstępne rozmowy w związku z propozycją, mającą być treścią listu. Zwierzyłem się z tej wątpliwości Wasilewskiemu, sugerując jednocześnie zastąpienie jednoosobowego delegata misją złożoną z trzech osób, której mógłbym być jednym z członków i oddać te same usługi, jakich się po mnie Wasilewski spodziewał. Wasilewski się zgodził. Wybór drugiego członka delegacji nie sprawiał kłopotu. Zatrzymaliśmy się od razu na osobie dobrze nam obu znanego prof. historii kultury, Jana Ptaśnika, którego obecność w składzie delegacji — z powodów o których niżej — wydawała się nam bardzo celowa. Trudności wyłoniły się dopiero przy wyborze szefa delegacji. Wkrótce Wasilewski zawiadomił mnie, że zamierza misję tę powierzyć Aleksandrowi Lednickiemu, przybyłemu niedawno z Rosji do kraju. Lednicki znał wielu wybitnych polityków czeskich starszego pokolenia, którzy w tym czasie trzymali cugle polityki czeskiej w swych rękach, i cieszył się w tym świecie dużą powagą. Kandydatura ta jednak po kilku dniach przestała być aktualna. Lednicki był wtedy przedmiotem gwałtownych ataków prasy narodowo-demokratycznej. Wasilewski miał dane do przypuszczenia, że jeśli Lednickiemu zostanie powierzona misja oficjalna, ataki na niego nie tylko nie osłabną, ale się wzmogą, i uważał, że jeśli szef misji, udający się zagranicę w sprawie, która nie mogła wzbudzać różnic między Polakami, będzie atakowany od wewnątrz — osłabi to jego pozycję na terenie zagranicznym i utrudni wykonanie misji.

W ciągu następnych kilku dni wyłoniła się nowa kandydatura i Wasilewski zapoznał mnie z przyszłym szefem delegacji. Był nim Stanisław Gutowski, ziemianin kresowy, były urzędnik rosyjskiej służby dyplomatycznej, późniejszy szef biura prasowego w M.S.Z.-cie za czasów min. Patka. Kwalifikacje jego na szefa delegacji polegały na długoletnim doświadczeniu w pracy dyplomatycznej oraz bliskiej znajomości, łączącej go z Kramarzem, ówczesnym czeskim premierem. Gutowski za czasów przynależności do stronnictwa narodowo-demokratycznego brał udział w negocjacjach i kongresach słowiańskich w latach 1905—1910. Z tego okresu datowały się jego dobre stosunki z Kramarzem.

W ten sposób delegacja została skompletowana, a poszczególne role jej członków zarysowały się automatycznie. Gutowski poza przewodnictwem delegacji miał utrzymywać kontakt z Kramarzem. Prof. Ptaśnik miał rozległe znajomości w świecie profesor-

skim Pragi; jak wiadomo świat ten zawsze odgrywał wielką rolę w życiu politycznym Czech. Należał do niego również prezydent Masaryk. Ptaśnika łączyły żywe stosunki z szeregiem profesorów uniwersytetu karolińskiego, między innymi z wybitnym uczoneym prof. Niederle, którego powszechnie uważano za będącego bardzo blisko osoby prezydenta. Jako łącznik z tym środowiskiem, prof. Ptaśnik mógł, wedle naszego mniemania, przyczynić się do powodzenia misji. Wreszcie, rola niżej podpisanego sprowadzała się do ułatwiania delegacji obracania się na terenie politycznym Pragi, docierania do właściwych osób, odnowienia kontaktów z przyjaciółmi niedawnej współpracy i wykorzystania tych stosunków w razie ewentualnych trudności przy spełnianiu naszego zadania.

Wszelkich instrukcyj udzielił nam min. Wasilewski. Przed moim odjazdem z Warszawy do Krakowa, mieliśmy jeszcze „odprawę“ u dr. Badera, pełniącego funkcję dyrektora departamentu politycznego; nie wniosła ona jednak do analizy sytuacji i dyktów niczego ponadto co wiedzieliśmy już od min. Wasilewskiego. Gutowski czekał w Warszawie na list z Belwederu. Przyjechał z nim po kilku dniach do Krakowa, skąd razem wyruszyliśmy do Pragi.

Formalne stosunki dyplomatyczne między Polską, a Czechosłowacją nie zostały jeszcze nawiązane, placówki konsularne jednak już funkcjonowały. Placówką w Pradze kierował Roman Wegnerowicz przy współpracy Jerzego Lechowskiego (oba później urzędnicy polskiej służby dyplomatycznej). W Krakowie rolę konsula pełnił dr. Locher, który też udzielił nam wiz dyplomatycznych..

Nie pamiętam daty naszego wyjazdu. Jest ona jednakże do ustalenia z wielką dokładnością; przyjechaliśmy do Pragi 3-4 dni przed tryumfalnym wjazdem do stolicy prezydenta Masaryka, co nastąpiło 21 grudnia 1918 roku. Datą naszego wyjazdu był zatem 16 lub 17 grudnia. Przybyliśmy do Pragi nocą. Mimo spóźnionej pory na dworcu oczekiwało nas trzech oficerów. Przedstawili się nam jako reprezentanci min. Spraw Wojsk. czy też kancelarii wojskowej prezydenta (szczegółu tego nie potrafię odcyfrować w pamięci). Witając nas zokomunikowali, że mają zarezerwowane pokoje, przepraszając równocześnie, że ze względu na przyjazd prezydenta i w związku z tym przepelnione hotele, nie mogli nas ulokować razem. Po czym samochodami odwieźli Gutowskiego do reprezentacyjnego hotelu „U Złate Husy“ na Vaclavskem Naměstí, a prof. Ptaśnika i mnie do hotelu na Prikopech, którego nazwy nie zachowałem w pamięci.

Nie spodziewaliśmy się oficjalnego powitania. Tym milej zaskoczył nas ten zaraz na wstępie okazany nam akt kurtuazji.. Niestety, ten pierwszy gest kurtuazyjny był bodajże jedynym, z jakim spotkaliśmy się w czasie całego pobytu w Pradze. Już nazajutrz rano, przeglądając prasę, natrafiliśmy na artykuł redakcyjny w

„Narodni Listy“ pt. „Troji Vlada“ (Potrójny Rząd). Artykuł niezgodnie z prawdą i w sposób złośliwy przedstawiał Polskę, jako kraj chaosu, w którym rzekomo miały istnieć równocześnie trzy rządy: w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Z artykułu przebijała teza, że Polska nie jest krajem praworządnym i właściwie niewiadomo przez kogo reprezentowana. Autor artykułu nie wspominał wprawdzie o przybyciu delegacji, nie mieliśmy jednak wątpliwości, że był przeznaczony na nasze powitanie. Nie wróżył nic dobrego, bowiem „Narodni Listy“ były organem Kramarza i artykuł taki w dzień naszego przyjazdu nie mógł się być ukazać bez jego zgody, o ile nie został napisany z jego inspiracji. Jeszcze tego samego dnia mieliśmy sposobność umocnić się w naszych przypuszczeniach. Gutowski złożył Kramarzowi wizytę tegoż dnia po południu; wrócił wieczorem wyraźnie zdetonowany i złożył dla prowadzonego przeze mnie dziennika delegacji szczegółową relację.

Kramarz przyjął go ze wszelkimi oznakami towarzyskiej serdeczności, mimo to jednak od razu zaznaczył, że jakkolwiek cieszy się, widząc go, lecz równocześnie żałuje, że właśnie Gutowskiego delegowano do Pragi. W wytworzonej sytuacji łatwiej i wygodniej byłoby mu rozmawiać z kimś z Polaków, nie związanym z nim latami znajomości i współpracy. Po czym od razu przeszedł do ataku, zarzucając nam chęć tworzenia na Śląsku faktów dokonanych. Na uwagę, że umowa na Śląsku została zgodnie podpisana przez tamtejsze reprezentacje polityczne czeską i polską, wpadł w irytację, twierdząc, że „Narodni Vybor“ nie był uprawniony do podpisywania tego rodzaju umowy, którą rząd czeski nie czuje się związany. Gutowski starał się unikać rozmowy merytorycznej na ten temat i raz po raz skierowywał ją na przyjazd naszej misji, wskazując na nią, jako najlepszy dowód z polskiej strony chęci polubownego załatwienia problemów czesko-polskich włącznie z tymi, które stanowią przedmiot sporu. Kramarz jednakże niechętnie podejmował ten temat, wracając wciąż do zarzutów w sprawie Zaolzia. Rozmowa miała być przez Kramarza prowadzona w sposób gwałtowny, co zgodne zresztą było z jego wybuchowym temperamentem. Jednakże nie ten rodzaj rozmowy napawał Gutowskiego pesymizmem; najbardziej bezkompromisowe stanowiska doprowadzają w rezultacie do kompromisu, zwłaszcza, że w naszym wypadku cel ograniczał się tylko do doprowadzenia strony czeskiej do stołu rokowań.

To, co zbiło Gutowskiego z tropu łączyło się z drugą częścią jego wizyty. W trakcie rozmowy, Kramarza odwołano, a kiedy wrócił, wystąpił w zgoła innej roli: zamiast namiętnie dyskutującego polityka zjawiał się gościnnie gospodarz. Zapraszał do obejrzenia apartamentów przygotowanych dla prezydenta, wracał do współpracy w czasie kongresów słowiańskich, rozwodził się nad katastrofą Rosji — mówił o wszystkim z wyjątkiem ak-

tualnej sprawy ułożenia stosunków polsko-czeskich i naszego w tym celu przyjazdu. Wszelkie próby Gutowskiego powrotu do przerwanej rozmowy okazały się bezskuteczne: Kramarz tego dnia do rozmów na te tematy wciągnąć się nie dał. Przy pożegnaniu Gutowski poruszył jeszcze kwestię terminu wizyty u prezydenta, co Kramarz miał zbyć gładko, zasłaniając się oczywistą niemożliwością ustalenia daty przed przyjazdem prezydenta. Nie omieszczał podkreślić, że prezydent po przyjeździe będzie naturalnie bardzo zajęty, dodając równocześnie z kurtuazją, że niewątpliwie Gutowski mieć będzie okazję do zobaczenia go. Zresztą i on, Kramarz, ma nadzieję widzenia jeszcze Gutowskiego w czasie jego pobytu w Pradze.

Kończąc swoją relację, Gutowski wysnuł z rozmowy z Kramarzem następujące wnioski i przypuszczenia:

- a) ustosunkowanie się Kramarza do Polski jest w istniejącym stanie rzeczy wrogie,
- b) w sprawie Śląska ma widocznie swoje plany nie zmierzające do załatwienia sporu w drodze wzajemnego porozumienia,
- c) przyjazd delegacji jest mu skutkiem tego bardzo nie na rękę,
- d) odwołanie Kramarza w czasie wizyty Gutowskiego musiało mieć jakiś związek z naszą delegacją i zmienioną taktyką w drugiej części wizyty,
- e) Kramarz przypuszczalnie dążyć będzie do unikania negocjacji w ogóle.

Relacja Gutowskiego nie była budująca. Rozumieliśmy, że jeżeli jego konkluzje są słuszne, w co nie było powodu wątpić, to powodzenie naszej misji stanęło od razu pod znakiem zapytania. Równocześnie oceniliśmy trafność, z jaką w Warszawie wybrano formę przekazania propozycji do Pragi: nie od rządu polskiego do rządu czeskiego, ale od Naczelnika Państwa do prezydenta. Kiedy w czasie pierwszej rozmowy z min. Wasilewskim w Warszawie zagadnąłem go o to, odpowiedział, że decydowały tu dwa względy. Przede wszystkim chodziło o podkreślenie wagi, jaką dla tej sprawy przywiązywano w Warszawie. Drugim względem była okoliczność nienawiązanych jeszcze pomiędzy obu państwami formalnych stosunków dyplomatycznych. Gdyby zatem rząd czeski chciał się od rokowań uchylić, mógłby to łatwo uczynić, zasłaniając się jakimiś względami natury formalnej. List osobisty Piłsudskiego, jako tymczasowego zwierzchnika państwa polskiego, do głowy republiki czechosłowackiej miał wagę, której względy formalne nie mogły osiągnąć. Stanowisko to okazało się przewidujące. Po wizycie Gutowskiego u Kramarza w połączeniu z porannym artykułem w „Narodni Listy“ zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby propozycje przez nas przywiezione skierowane były do rządu czeskiego — należałoby już wtedy uznać misję naszą za chybioną. W sytuacji, w której znajdowa-

liśmy się faktycznie — szanse wciąż jeszcze istniały. Ostatecznie, list mieliśmy doręczyć prezydentowi, a nie Kramarzowi, a mimo jego kluczowej pozycji w polityce ówczesnej Czechosłowacji wciąż trudno nam było przypuścić, że prezydent może przejść do porządku dziennego nad propozycjami ułożenia wzajemnych stosunków w drodze obopólnego porozumienia.

Następne dni, dzielące nas od przyjazdu prezydenta, zużytkowaliśmy — zarówno prof. Ptaśnik, jak i niżej podpisany — na wizyty i rozmowy z przyjaciółmi i znajomymi czeskimi oraz na badanie opinii i nastrojów praskich w stosunku do Polski.

Spotkania prof. Ptaśnika — jak relacjonował — utrzymane były w atmosferze przyjaznej, rozmowy jednak nie wyszły poza ogólne, dotyczące potrzeby przyjaznych stosunków pomiędzy oboma państwami. Odnosnie naszej misji, oceniano bardzo przychylnie bezpośrednie zwrócenie się Piłsudskiego do Massaryka, a niektórzy z rozmówców ofiarowali swoje pośrednictwo w stosunku do prezydenta.

Z licznych moich spotkań najbardziej ostro utkwiły mi w pamięci, jako najbardziej charakterystyczne, trzy pierwsze wizyty. Wszystkie późniejsze rozmowy dałyby się mniej lub więcej wtłoczyć w te, które miałem z dr. Veverką, min. Švehlą i min. Vrbenskym.

Veverka w tym czasie zajmował już poważne stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych. O ile dobrze pamiętam, pełnił wtedy funkcje dyrektora departamentu politycznego. Zostałem go niezmienionego zarówno w stosunku do mnie osobiście, jak i do spraw, które stanowiły treść naszych, w gruncie rzeczy tak niedawnych, poczynań. Chciał widzieć oba państwa silne, związane z sobą bliskimi węzłami współpracy. Patrzył sceptycznie na tą politykę, która chciałaby owinąć Czechy, jak bluszcz, wokół przyszłej Rosji. Rozumiał wagę rozwiązania spraw spornych (przede wszystkim Zaolzia) w drodze porozumienia i w tym względzie ustosunkował się bardzo pozytywnie do naszej misji. Mimo jednakże wspólnego języka, któryśmy od razu wyczułem zmianę w jego nastroju, jeśli chodzi o możliwości rozwiązania tych zagadnień po naszej myśli: w wynurzeniach jego zamiast dawnego optymizmu brzmiały nuty pesymistyczne, wynikające z kierunku polityki sfer, decydujących w Pradze w stosunku do Polski. Z niedomówień rozumiałem, że ma na myśli przede wszystkim Kramarza. Był jednakże po dawnemu serdeczny i oddawał mi się całkowicie do dyspozycji, gdybyśmy napotkali na trudności w związku z wykonywaniem naszej misji.

Antoni Švehla był wtedy ministrem spraw wewnętrznych. Przyjął mnie natychmiast po zgłoszeniu się w sekretariacie i witał we właściwy mu sposób: serdecznie i jowialnie. Dowiedziałwszy się o celu mego przyjazdu, powiedział kilka uprzejmości, ale nie zatrzymał się na tej sprawie i przeszedł szybko na inny te-

mat. Kiedy później retrospektywnie rozważałem tę rozmowę, dochodziłem do przekonania, że Švehla skwapliwie skorzystał z okazji, aby móc z Polakiem, którego znał i do którego miał zaufanie, szczerze porozmawiać na temat, żywo go interesujący. Mia nowicie, dość dla mnie nieoczekiwanie, rzucił pytanie, jak daleko Polacy zamierzają posunąć się na Wschód. Opancerzyłem się od ruchowo i odpowiedziałem, że traktaty rozbiorowe zostały przekreślone nawet przez Rosjan. W dalszej rozmowie Švehla powiedział wyraźnie, że nie powinniśmy sięgać poza granicę Bugu. Rozmowa była długa, przerywana od czasu do czasu przez zrozpaczonego sekretarza, anonsującego długo czekających już, zapowiedzianych uprzednio gości. Przedłużana na życzenie Švehli, dała mu możliwość powiedzenia wszystkiego o korzyściach Polski „etnograficznej“, nie mającej sporów terytorialnych z Rosją. Dała mu również okazję do wysłuchania argumentacji polskiej w tej sprawie. Niestety jednak, argumenty służą przede wszystkim dla uzasadnienia własnej postawy przed samym sobą i co najwyżej wpływać mogą na kształtowanie się poglądów cudzych, jeszcze nie sformowanych. Lecz Švehla zdawał się mieć pogląd wyrobiony na układ stosunków politycznych w tej części Europy, na powrót Rosji do czynnego życia na terenie międzynarodowym i jej rolę na wschodnich kresach zachodniego świata. Niewątpliwie był w tej mierze wyrazicielem stanowiska oficjalnej polityki czeskiej, w czym zresztą nie różnił się zbyt od ówczesnej polityki wielkich mocarstw zachodnich.

Miałem wrażenie, że spory graniczne polsko-czeskie nie przesłaniają mu problemu stosunków polsko-czeskich na tle mapy politycznej Europy Środkowo-Wschodniej, że rola Czech, Polski i Rosji w świecie powojennym zaprzatają go o wiele bardziej, niż terytorialne zatargi sąsiedzkie. Nie wątpiłem, że jest to jedyne, właściwe ustosunkowanie się do problemu czesko-polskiego. Świadczyło o dalekowzroczności Švehli w rozpatrywaniu zjawisk politycznych. Zdawałem sobie z tego sprawę, bolejąc równocześnie, że koncepcje czeskie tak są odległe od poglądów polskich.

Švehla żegnając się serdecznie, upoważnił mnie do zwracania się do niego ilokrotnie uważałbym to za właściwe w czasie pobytu naszej delegacji w Pradze.

Wizyta u min. aprowizacji Vrbensky'ego była dla mnie zupełną niespodzianką. Z Vrbenskym byłem na stopie bez porównania bliższej, niż ze Švehlą. Brał on żywy udział w naszych pracach i nie sądzę, abym się mylił, przypominając sobie że uczestniczył w zebraniu krakowskim. Przyjął mnie zimno, sztywno, zarzucając z miejsca pretensjami. Żalił się na nieprzyjazne stanowisko Polski w stosunku do Czech, powołując się w tej mierze na jakieś nieźychezliwe artykuły drukowane w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym“. Był pełen rekruminy w sprawie Śląska. Nie znaleźliśmy w ogóle wspólnego języka.

Z żalem notowałem zmianę atmosfery, jaka dokonała się w Pradze w ciągu kilku miesięcy. Poza wrogimi nastrojami, wpływającymi ze sporu śląskiego, jaskrawo wystąpiły koncepcje polityczne diametralnie sprzeczne z polską racją stanu. Bolszewików wprawdzie nienawidzono wówczas w Pradze, uważano jednakże Rosję Sowiecką, jako zjawisko przejściowe i oczekiwano, że po opadnięciu czerwonej zasłony ukaże się „prawdziwa“ Rosja i obejmie rolę czynnika, dominującego w Europie Środkowo-Wschodniej. Ci nieliczni, z którymi mogłem prowadzić rozmowy w duchu, patronującym nam kilka miesięcy temu — patrzyli na rozwój wypadków z pesymizmem. Pragę zastałem inną. „Dichtung“ z przed kilku miesięcy zamieniło się w smutną „Wahrheit“.

Praga tymczasem czyniła ostatnie gorączkowe przygotowania na przyjęcie prezydenta. Przygotowywaliśmy się również i my, jako delegacja. W przeddzień przyjazdu Gutowski wyjął z wielkiej koperty list Piłsudskiego celem wspólnego, dokładnego zaznajomienia się z tekstem, mimo iż naturalnie treść jego znałszyśmy. Na pięknym wielkim arkuszu, po francusku, rondowym piśmie wykaligrafowany list zaczynał się od wyrażenia radości z powodu odrodzenia się państwowości czeskiej i polskiej i życzeń, składanych prezydentowi zarówno dla niego osobiście, jak też i na jego ręce dla republiki Czechosłowackiej. Po czym następowała propozycja powołania do życia komisji mieszanej czesko-polskiej, o czym wspominałem już wyżej.*) Gutowski ze swej strony wykaligrafował list do prezydenta, w którym zawiadał, że jest szefem delegacji, wiozącej dla niego list odręczny Naczelnika Państwa i prosił o wyznaczenie audiencji celem wręczenia wymienionego pisma. Nazajutrz wczesnym rankiem pojechałem na Hradčany, gdzie w kancelarii cywilnej złożyłem pismo Gutowskiego. Tegoż dnia przed południem odbył się tryumfalny wjazd prezydenta do Pragi.

Uroczystości tej przyglądaliśmy się z okien pokoju Gutowskiego w hotelu „U Zlate Husy“. Byliśmy świadkami tego niezapomnianego widowiska. Masaryk wjeżdżał do stolicy w otoczeniu oddziałów wojskowych, które wraz z nim wracały z emi-

*) Wyjęcie listu z koperty łączy mi się w pamięci z tragicomicznym szczegółem. Pod dostojnymi literami rondowego pisma widniał znany, skromny podpis Piłsudskiego. A tuż obok podpisu spora, ogrągła tłusta plama, jakby z masła. Widać podpisywanie miało miejsce w czasie śniadania. Gutowski był pełen nieopisanej rozpacz: takiego listu nie może wręczyć. Z zupełnym niedowierzaniem słuchał moich zapewnień, że plama zostanie całkowicie wywabiona w ciągu kilku minut. Równowaga została dopiero przywrócona, kiedy pod działaniem eteru, zdobytego w jednej z aptek, plama istotnie znikła.

gracji, oraz władz cywilnych. Siedział w powozie blady, z odkrytą głową, raz po raz skłaniając ją w odpowiedzi na nieustanne wybuchy entuzjazmu, który mieszał się z widocznym wzruszeniem zarówno witających, jak i witanych. Po przyjeździe przewidziane były pewne uroczystości o charakterze oficjalnym, przemówienie Masaryka do Zgromadzenia Narodowego itd. Miały się one przeciągnąć do dnia następnego. Świat oficjalny był w ten, czy inny sposób zaangażowany w przyjęciu prezydenta. Również cała ludność brała udział w tym święcie. Nie wchodziły zatem w tym czasie w rachubę żadne spotkania. Toteż byliśmy tylko widzami tego oszalałającego widowiska, jaki w tym dniu przedstawiała Praga. Upojona, kipiała szczęściem. W tej zrozumiałej erupcji łatwo jednak dosłuchać się było pewnego głosu charakterystycznego dla ówczesnego nastroju w Pradze.

★

NA SKUTEK położenia geograficznego i sprzyjającej konstelacji międzynarodowej, Czechy wchodziły w skład wolnych państw bez bólów i wstrząsów. Nie tylko nie pomniejszone, ale przeciwnie powiększone o Słowaczyznę. Nietknięte zniszczeniami wojennymi, nie miały nawet troski odbudowy i problemów repatriacyjnych. Toteż oprócz radości uderzała w nich pewność siebie. Ta pewność, która nie tyle płynie z poczucia słuszności własnej sprawy i trudu własnych osiągnięć, ile z nadmiaru powodzenia. Powodzenie jest zawsze demoralizujące, a jego nadmiar wzbudza kompleks wyższości z równoczesnym lekceważeniem innych, którym losy nie przyniosły w darze łatwego sukcesu. Ten rys uderzał zarówno w postawie rozbawionego tłumy, jak i w rozmowach ze znajomymi, podobnie zresztą, jak w poprzednich spotkaniach z osobistościami oficjalnymi. Nie był to klimat sprzyjający negocjacom.

Oczekiwaliśmy zawiadomienia z Hradczynu o terminie audyencji. Gutowski — jedyny z nas biegły w protokole dyplomatycznym — utrzymywał, że wyznaczenie audyencji dla delegacji, wiozącej list głowy państwa, winno nadejść nazajutrz po zgłoszeniu przez delegację jej przyjazdu. Był to jednak jeszcze dzień uroczystości. Spodziewaliśmy się zatem odpowiedzi następnego dnia. Minął jednak i ten dzień i jeszcze następny i jeszcze dalszy — od złożenia listu Gutowskiego pięć, czy sześć dni, a spodziewane potwierdzenie listu i wyznaczenie audyencji nie nadchodziło. Sytuacja stawała się kłopotliwa. Gutowski malował ją przed nami w barwach dramatycznych. Jeśli, twierdził, w ciągu najbliższych jednego-dwóch dni nie otrzymamy odpowiedzi, to nie mogąc narażać na szwank prestiżu Naczelnika Państwa, nie

pozostanie nam nic innego, jak opuścić Pragę. A jeśli to uczynimy, to nie tylko nie wywiążemy się z misji nam powierzonej, ale zamiast wpłynąć na złagodzenie napięcia czesko-polskiego spowodujemy większe jeszcze zaostrzenie. Zdecydowaliśmy tedy, że nie należy trwać w biernym oczekiwaniu, ale próbować kryzys zażegnać.

Udałem się do dr. Veverki, którego biuro mieściło się na Hradczynie, w tym samym skrzydle, co biura prezydenta. Z Veverką rozmawiałem zawsze szczerze. I tym razem nie zostawiłem żadnych niedomówień, podkreślając konsekwencje, jakie wynikłyby, gdybyśmy widzieli się zmuszeni do wyjazdu bez możliwości wręczenia przywiezionego listu. Veverka był zaskoczony. Nie wiedział, że sprawa przyjęła taki obrót. W pełni rozumiał, że nasz wyjazd w takich warunkach byłby nie tylko ciosem dla przyjaznego ułożenia stosunków polsko-czeskich, ale również pewnego rodzaju skandalem, jeśli chodzi o przestrzegane jeszcze wtedy formy współżycia międzynarodowego. Poprosiwszy abym czekał na jego powrót, wyszedł z pokoju. Po powrocie zakomunikował, że był u prezydenta, który zdziwiony miał się od niego dopiero dowiedzieć o naszej obecności w Pradze. Twierdził, że listu Gutowskiego mu nie przedłożono — i wyznaczył audyencję na godzinę 4-tą po poł. tegoż dnia. Veverka nie zawiódł.

Przed czwartą byliśmy na Hradczynie a kiedy z poczekalni wchodziliśmy do korytarza, wiodącego do gabinetu prezydenta, w drzwiach natknęliśmy się na Kramarza, wychodzącego od prezydenta z kilkoma panami. Kiedy zobaczył Gutowskiego, błąsk zdziwienia przebiegł mu po twarzy, która zresztą po chwili pokryła się zdawkowym uśmiechem. „Panowie do prezydenta?” rzucił retoryczne pytanie i nie czekając na odpowiedź, siłąc się na swobodny ton, dodał: „No to w takim razie dziś będzie u niego Europa Środkowa i Wschodnia w komplecie”.

Weszliśmy do niedużego pokoju, robiącego wrażenie prywatnego gabinetu; Masaryk podniósł się szybko spoza biurka i z serdecznym uśmiechem oraz gestem gościnnego gospodarza zapraszał nas do zajęcia miejsc, używając przy tym mieszaniny językowej czesko-polsko-rosyjskiej. Gutowski jednak — a my z nim — stał w pozycji „zasadniczej”. Masaryk zorientował się od razu, że czekają go jakieś formalności i stanął przy biurku w postawie wyczekującej. Gutowski wygłosił po francusku z góry przygotowane przemówienie, poczem wręczył prezydentowi list Piłsudskiego. Zasiadliśmy w fotelach a Masaryk zaczął uważnie czytać wręczone mu pismo. Po skończeniu wyraził podziękowanie za zwrócone doń słowa Piłsudskiego, prosząc równocześnie o zapewnienie Naczelnika Państwa, że żywi dla Polski podobne uczucia. W sprawie meritum t.j. propozycji utworzenia komisji mieszanej ustosunkowuje się pozytywnie. Ale — niewątpliwie to rozumiemy — w myśl konstytucji czeskiej on sam, jako prezydent,

nie może żadnej akcji w tym kierunku podjąć. Musi sprawę przekazać do załatwienia rządowi, z którym się w tej materii porozumie niezwłocznie.

Rozmowa toczyła się po francusku z wypadami w angielszczyznę. Audyencja trwała około trzech kwadransów, przy czym żaden z drażliwych tematów nie był przez prezydenta poruszony. Poza treścią listu w rozmowie poruszono temat stosunków, panujących w Polsce i Czechosłowacji. Prezydent wykazywał żywe zainteresowanie sytuacją polską, zadawał pytania i ze swej strony wyjaśniał niektóre problemy czeskie. Gutowski nawrócił pod koniec jeszcze do przedłożonych propozycji, zapewniając prezydenta, że zarówno Naczelnik Państwa, jak i rząd oraz społeczeństwo, pragną ułożenia stosunków polsko-czeskich na podstawie wzajemnej przyjaźni. Nadmienił, iż proponowana przez Naczelnika Państwa droga jest jedyną praktyczną, wiodącą do tego celu. Wyrzcił również nadzieję, że prezydent podziela ten punkt widzenia. Masaryk skwapliwie potwierdził. Natychmiast omówi przywiezione propozycje z premierem, któremu zleci zajęcie się tą sprawą i sugerował nam szybkie skomunikowanie się z Kramarzem. Żegnając się, podkreślił, iż pragnie abyśmy wiedzieli, że sprawa stosunków czesko-polskich leży mu bardzo na sercu i że będzie je zawsze — pamiętam doskonale użyty przez niego zwrot — traktował „avec souplesse“.

Opuszczaliśmy stary zamek królewski z mieszanymi uczuciami: pod wrażeniem uroku, jaki przed nami prezydent roztoczył oraz jego zapewnień co do przychylnego stanowiska w sprawie propozycji Piłsudskiego i z równoczesną świadomością, że sprawę całą przekazuje Kramarzowi a więc oddaje ją — według naszego mniemania — w najgorsze ręce, jakie dla podjęcia tej sprawy można było wtedy w Pradze znaleźć.

Przeczekawszy dzień, Gutowski udał się do Kramarza. Prezydent już mu był całą rzecz przekazał. Ale Gutowski — wywodził Kramarz — z pewnością zdaje sobie sprawę, że on sam, jako premier, bez konsultacji resortowego ministra nie może nic przedsięwziąć a Benesz, minister spraw zagranicznych, znajduje się w Paryżu. Porozumie się z nim niezwłocznie. Na zapytanie Gutowskiego, kiedy sądzi, iż będzie mógł udzielić pewnej odpowiedzi, żalił się, że komunikacja z Paryżem nie działa sprawnie i że nie spodziewa się otrzymać niczego w tej materii od Benesza przed dziesięcioma dniami. Gutowski zapowiedział zgłoszenie się w tym czasie.

W tej sytuacji zdecydowaliśmy nie czekać w Pradze, ale wykorzystując przerwę, wrócić do Warszawy i złożyć sprawozdanie ustne Wasilewskiemu.

Po omówieniu stanu rzeczy z Wasilewskim postanowiono, że wróć do Pragi sam i zgłoszę się po odpowiedź do Kramarza. Jeśli odpowiedź zawierać będzie coś konkretnego a nie stanowić

dalszej gry na zwłokę — mam zatelegrafować do Gutowskiego z prośbą o przyjazd. W pierwszych dniach stycznia byłem na powrót w Pradze i zgłosiłem się do Kramarza. W sekretariacie zakomunikowano mi, że Kramarz jest nieobecny, wróci dopiero następnego dnia a po powrocie kalendarz ma bardzo wypełniony. W rezultacie wizyta została wyznaczona czwartego dnia po moim przyjeździe.

Jednocześnie nawiązywałem rozmowy ze znajomymi i śledziłem nastroje polityczne w stosunku do Polski. Byłem zdumiony, jak bardzo nabrzmiały nastroje w sprawie Zaolzia. Z konsulatu naszego informowano mnie o bardzo uporczywych pogłoskach, że oddziały wojskowe czeskie, te które wróciły z emigracji, przygotowane są do wkroczenia na Śląsk. Wiadomości takie potwierdzały się również z innych źródeł.

Kramarz w czasie wizyty, którą mu w wyznaczonym terminie złożyłem, zachował się w sposób mniej więcej podobny, jak w czasie pierwszej wizyty Gutowskiego. Nie przestawał w sposób gwałtowny robić zarzutów w sprawie umowy śląskiej a nie dawał odpowiedzi, po którą się zgłosiłem. Nie był dostępny żadnym argumentom. Przypominam sobie, że wybuch — nawet jak na niego niezwykły — wywołała moja uwaga o czeskich źródłach naukowych, które sporną część Śląska zaliczają do terenów zamieszkałych przez ludność polską. Nie jest profesorem, nie pisze pracy naukowej i nie ma żadnego zainteresowania w tej chwili dla źródeł naukowych. Rozmowa stawała się bezprzedmiotowa. Przypomniałem mu przeto cel mojej wizyty. Uspokoił się natychmiast i używając znowu wybiegu o trudnościach komunikacyjnych, wyrażał żal, że nie ma jeszcze odpowiedzi od Benesza. Jest przekonany jednak, że za tydzień będzie mógł mi udzielić wiadomości o stanowisku ministra spraw zagranicznych w omawianej sprawie.

Po wizycie u Kramarza nie miałem żadnych wątpliwości, że znajdujące się w jego ręku propozycje Naczelnika Państwa są bezceremonialnie „splawiane“. „Trudności komunikacyjne“ między nim a Beneszem były wybiegiem zbyt naiwnym a równoczesne wiadomości o oddziałach wojskowych, przygotowanych do zajęcia Zaolzia — zbyt uporczywe. Nie ulegało wątpliwości, że rząd czeski zmierzał do zbrojnego zajęcia polskiej części Śląska, nie zatrzymując się nad innym sposobem załatwienia spornego problemu. W tym stanie rzeczy uważałem dalszy pobyt w Pradze i zgłoszenie się ponowne za tydzień u Kramarza za stratę czasu, który może uda się jeszcze wykorzystać dla sparaliżowania akcji zbrojnej na innej drodze. Chciałem ostrzec Wasilewskiego o sytuacji i tegoż wieczoru wyjechałem z Pragi.

Po powrocie złożyłem Wasilewskiemu sprawozdanie, zamykając je następującymi wnioskami:

- 1) wydaje się nie ulegać kwestii, że w ciągu najbliższego czasu, może już najbliższych dni, nastąpi najazd na polski Śląsk;
- 2) próby zapobieżenia temu na terenie Pragi są bezcelowe;
- 3) jedynym miejscem, gdzie interwencja może być skuteczna, jest Paryż. Pod skrzydłami konferencji pokojowej, w obecności obu delegacji: polskiej i czeskiej i ówczesnym nastroju — propozycja zwołania komisji mieszanej celem pokojowego załatwienia sporu musi zyskać powszechne poparcie.

Nasza misja była skończona. Zamykała się całkowitym niepowodzeniem. Nie będąc urzędnikiem M.S.Z-etu i znajdując się poza jego aparatem, nigdy nie zdołałem się dowiedzieć, czy w myśl moich wniosków wysłano kiedykolwiek instrukcje do Paryża i czy jakieś kroki interwencyjne tam nastąpiły. Nie wiem, czy było na to dość czasu, bowiem już w kilka dni po moim powrocie z Pragi a mianowicie 23 stycznia 1919 roku wojska czeskie wkroczyły na polską część Śląska i napotkały na opór nielicznych, stacjonujących tam oddziałów. Polała się krew. Wyciągnięta do bratniego porozumienia dłoń Piłsudskiego, zawisła w powietrzu.

Wspomniałem na początku, że gdyby inicjatywa Piłsudskiego została przez czeską stronę podjęta, wpłynęłoby to na późniejsze ukształtowanie się stosunków między obu państwami. Chciałbym tu dodać jeszcze kilka słów.

Ilekoć wertowałem swoje „archiwum“ i natykałem się na teczkę, zawierającą dokumenty, notatki, kopię dziennika itd., odnoszące się do wymienionego epizodu — zastanawiałem się, jak byłyby się ułożyły stosunki polsko-czeskie, gdyby inicjatywa Piłsudskiego została przyjęta pozytywnie i gdyby powstała komisja mieszana.

Boy-Zeleński takie bezpłodne igraszki myślowe na temat „co by było, gdyby było“ pogardliwie nazywał „gdybaniem“. Miał zapewne rację. Mimo to nie mogłem się tym rozmyślaniami oprzeć. Dochodziłem zawsze do wniosku, że gdyby nawet inwazja czeska nie nastąpiła, to przypuszczalnie sytuacja ułożyłaby się w sprawie Zaolzia tak, jak się ułożyła. W latach 1919/20 sytuacja Czechosłowacji na terenie międzynarodowym była łatwa i prosta a nasza trudna i skomplikowana. Czesi znaleźliby więc z pewnością dla siebie odpowiednią chwilę, aby osiągnąć korzystne rozstrzygnięcie sporu. Tak, jak to zresztą zrobili w groźnych dla nas dniach lipca 1920 roku, kiedy uzyskali w Spa decyzję przyłączenia Zaolzia bez plebiscytu. Zatem przyjęcie propozycji Piłsudskiego zapewne nie wieleby w ostatecznym wyniku zmieniło.

Zmiana polegałaby na czym innym: uniknęłoby się przelewowi krwi. Tej krwi przelanej w czasie, kiedy w bólach i wstrząsach

odradzało się państwo polskie społeczeństwo nie zapomniało. Tragiczny ten epizod stał się dla wielu urazem, utkwiał bolesną zadną, głęboko w sercu. Z pewnością pamiętali o nim ci, co wpływali na kształtowanie się naszej polityki zagranicznej przed drugą wojną.

Światła i cienie naszej polityki w stosunku do czeskiego sąsiada nie są przedmiotem niniejszych rozważań. Tu można stwierdzić jedynie, że wśród czynników, określających stosunek Polski do Czechosłowacji, był również i ten, który wywodził się z bolesnej daty 23 stycznia 1919 r. Przekreśliła ona zamiary Piłsudskiego ułożenia stosunków polsko-czeskich na podstawie wzajemnego porozumienia.

Biblioteka Główna UMK



300051141213

Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1382171

Biblioteka Główna UMK



300051141213